

**WOJCIECH  
CHMIELARZ**  
**ZA GRANICĄ**

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Wojciech Chmielarz

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

*grudzień 2022*

Od Chorwacji gorsze było tylko Chile, a przynajmniej tak to wyglądało na mapie. Pasek lądu ciągnący się wzdłuż wybrzeży Oceanu Spokojnego, tak wąski, że kiedy się zamachniesz, dorzucisz kamieniem do morza. W Chorwacji można przynajmniej uciec w głąb kraju, schować się za góry, zakopać gdzieś w dolinach i Adriatyk oglądać tylko na zdjęciach. Ale jakiś czas temu Mateo zaczął się bawić Google Earth i okazało się, że Chile w najszerszym miejscu ma prawie pięćset kilometrów szerokości, a średnio trochę mniej niż dwieście. Plus minus tyle samo, ile z jego domu do Zagrzebia. Czyli wychodziło na to samo, chociaż Chile miało przynajmniej Andy. Mateo nie mógł się zdecydować, który z tych dwóch krajów jest gorszy. Tak w Chile, jak i w Chorwacji przeszkadzało mu jedno – bliskość morza. Nienawidził Adriatyku. Lubił sobie wyobrażać, że gdzieś po drugiej stronie globu jakiś młody Chilijczyk jest równie negatywnie nastawiony do Pacyfiku. Gdyby kiedyś spotkali się w jakimś barze, mieliby na pewno wiele wspólnych tematów do rozmowy.

Od domu rodzinnego do brzegu morza Mateo miał około dwustu metrów. Co ważniejsze, jego ojciec był rybakim, jego starszy brat był rybakim i najwyraźniej on sam, przynajmniej w tym momencie, też był rybakim, ponieważ znajdował się na kutrze i wsłuchany w monotonny dźwięk silnika czekał, aż wyciągarka wciągnie sieć na pokład.

Na kutrze przeszkadzało mu wszystko, poczynając od kołysania. Nie miał na szczęście problemu z chorobą morską. Gdyby cierpiał na

tę przypadłość, ojciec pewnie by się go wyrzekł, ale Mateo i tak nie czuł się komfortowo. W końcu człowiek jest zwierzęciem lądowym, tłumaczył sobie, a jego naturalne środowisko to twarda ziemia pod stopami. Tutaj każda fala poruszająca kutrem przypominała Mateo o czekającej pod nim morskiej otchłani. I jasne, zatoka Kvarner to nie żaden Rów Mariański, ale co za różnica, czy utoniesz w miejscu, które ma kilkadziesiąt czy kilka tysięcy metrów głębokości?

Praca była ciężka, nieprzyjemna. Wymagała dużego wysiłku i wstawania o porze, kiedy inni faceci w jego wieku kładli się spać po dobrej imprezie. A potem kilka, kilkanaście godzin na małym kutrze, gdzie musieli bardzo uważać, żeby na siebie nie wpaść. Wreszcie zapach. Mateo rozumiał, że są ludzie, którym morska bryza wydaje się najcudowniejszą wonią pod słońcem, ale dla niego praca na kutrze kojarzyła się raczej z zapachem smarów, smrodem benzyny i wreszcie z rybami. Po powrocie z morza zawsze spędzał w łazience co najmniej godzinę, ale nawet jak się wyszorował, miał wrażenie, że ciągle nimi cuchnął.

Przyczyna niechęci Mateo do pracy na morzu mogła być też inna, bardziej prozaiczna. Jego ojciec był postawnym mężczyzną, małymównym, surowym i nieprzyjemnym w obyciu. Wiele wymagał od siebie, a jeszcze więcej od Mateo i Zorana. Kiedy byli w trójkę na kutrze, odzywał się tylko po to, żeby na nich nakrzyczeć.

Nie obijaj się! Nie za to ci płacę! – wrzeszczał, chociaż płacił rzadko i jeśli w ogóle, to nieprzyzwoicie mało.

Jesteś tutaj, żeby pracować czy żeby sobie w dupie palcem machać?!

Myj ten pokład porządnie, bo zaraz zaczniesz pizdą śmierdzieć!  
Ciągnij sieć, bo nam ryby zaraz wszystkie spierdolą!

Mateo go jednak kochał, nawet jeśli za nim nie przepadał. Rzecz w tym, że ojciec stracił nogę na wojnie. Co prawda nosił protezę i poruszał się całkiem sprawnie, ale wszyscy w miasteczku o tym wiedzieli. Dlatego dzieciaki ze szkoły śmiały się z Mateo, że ma ojca pira-

ta. Sam już nie pamiętał, dlaczego tak go to drażniło. Wielokrotnie bił się z tego powodu, a że był wtedy raczej drobnej budowy, najczęściej wracał do domu z zakrwawionym nosem, posiniaczony i poobijany. I pamiętał swój żal do ojca, że nie wybrał sobie innego zawodu. Takiego, w którym nie nazywano by go piratem.

A może, myślał, próbując zignorować irytujące kołysanie kutra, sprawa była jeszcze prostsza. Nie lubił morza, bo go nie lubił, i już. Ludzie są różni, pasują im inne rzeczy. Jak z obciążaniem, uznał. Miał kiedyś dziewczynę, która lądowała z głową pomiędzy jego nogami, ledwo rozpiął rozporek. Lizła go, pieściła, dosłownie wypychała go sobie głęboko do gardła, jęcząc przy tym, jakby jego kutas był najlepszą i najśodsza rzeczą pod słońcem. Jedyne problem polegał na tym, że po wszystkim chciała Mateo koniecznie pocałować, a jego to brzydziło, dlatego ostatecznie się rozstali. Chociaż bywały noce, kiedy do niej tęsknił. Były więc kobiety, które uwielbiały obciążać, i takie, które ilekroć o tym wspominał, przewracały oczami, a jeśli już się zgadzały, robiły swoje z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Po wszystkim biegły do łazienki, pluły jak szalone do kibla czy umywalki i myły gorączkowo zęby, jakby robienie laski było główną przyczyną próchnicy wśród kobiet w wieku od dwudziestego do pięćdziesiątego roku życia. Gorszą nawet od cukru.

Może więc taka też była jego relacja z Adriatykiem, pomyślał Mateo – po prostu się nie lubili, i tyle.

Jedyne, co mu się podobało, chociaż niechętnie się do tego przyznawał, to widoki. Po swojej prawej stronie miał wyspę Cres, nad ramię jeszcze ciemną, szarą i spokojną. Po lewej poszarpane zatokami wybrzeże Istrii, z wystającymi z wody jak zęby białymi skałami i plałmami winnic na wzgórzach. Przed sobą światła budzącej się właśnie do życia Rijeki, a za plecami – i cieszył się, że nie musi patrzeć w tamtą stronę – wyjście na otwarte morze.

– Chcesz kanapkę? – zapytał Zoran i potrząsnął zapakowaną w papier kromką chleba.

– Nie – odpowiedział Mateo. Rzadko jadł na kutrze. Tylko wtedy, kiedy już naprawdę go skręcało z głodu. Ograniczał się zazwyczaj do wypicia kubka słodkiej herbaty.

– To mogę zjeść twoją?

– Na zdrowie, bracie. Tylko się pośpiesz, bo wyciągarka już pracuje.

Zoran podziękował mu ruchem głowy. Ściągnął papier z kanapki, wyrzucił go za burtę, chociaż ojciec takiego zachowania nie znosił (Morze nas żywi! – krzyczał, ilekroć ich na czymś takim przyłapał. – Morze trzeba szanować!), i zabrał się do jedzenia. Zoran wdał się w tatę. Równie wielki, kudłaty i małomówny. Zawodowo też związał się z morzem, chociaż łowił na kutrze tylko poza sezonem. Późną wiosną, latem i nawet wczesną jesienią wołał zajmować się turystami. Pływał z nimi wzdłuż wybrzeża Istrii, pokazywał jaskinie, urządzał wyprawy na Wyspy Briãońskie. Pracował w wypożyczalni skuterów wodnych i marzył, żeby nzbierać dość pieniędzy i otworzyć kiedyś swoją. Mateo z kolei uciekał od kutra, kiedy tylko mógł. Przeprowadził się na studia do Zagrzebia, chociaż wszyscy namawiali go na Rijekę lub Pulę, bo przecież miałby wtedy blisko do domu. Tłumaczył, że stolica, że większe możliwości, że najlepsze studia w kraju, i jakoś przekonał rodziców. Ze studiów jednak szybko zrezygnował, bo okazało się, że geografia to nie to. Pracował raz tu, raz tam, zaczęził się w jednej knajpie, potem w drugiej. Przez chwilę marzył o tym, żeby zostać DJ-em, ale jedynie puszczał muzykę na kilku weselach. Był młody i szukał swojego miejsca w życiu – uznał, że ma do tego prawo. W sezonie wracał do domu, jednak od morza trzymał się z daleka. Wołał pracować w tawernie u wuja, który w przeciwieństwie do ojca przyzwycięził, a poza tym Mateo zawsze dostawał napiwki.

Teraz jednak popełnił błąd i przyjechał na kilka dni w grudniu. Nie był to jego wybór. Sprzał pewnego gościa, zresztą kuzyna swojej dziewczyny, gdy ten powiedział na jej temat o kilka słów za dużo. Ona z jakiegoś powodu wzięła stronę krewnego, a że krewny miał

też innych krewnych, Mateo, który był w Zagrzebiu sam jak palec, wolał na jakiś czas usunąć się z widoku. No i przemyśleć, czy ten związek w ogóle ma sens. I czy w tym, co opowiadał kuzyn, nie było przypadkiem nawet więcej niż ziarno prawdy.

– Nie opierdalać się! Sieci, kurwa! – wrzasnął ojciec ze sterówki.

Zoran przełknął ostatni gryz kanapki i bez słowa zajął miejsce po drugiej stronie wyciągarki. Razem z Mateo w milczeniu patrzyli, jak wciągała kolejne metry grubej liny, mokrej i ciężkiej od słonej wody. Zoran chwycił ją uzbrojonymi w rękawice robocze dłońmi i szarpał, jakby chciał pomóc maszynie. Wyciągarka zatrzymała się na moment. Ojciec podszedł do bębna, sprawdził ułożenie liny i pokiwał z zadowoleniem głową. Ponownie uruchomił maszynę i spomiędzy fal wyłonił się ciemny, lśniący metalicznie łańcuch, a za nim wreszcie zielonkawa sieć rybacka. Mateo i Zoran przyciągali ją powolnymi, spokojnymi ruchami, upewniając się, że wszystkie ryby i pozostałe morskie stworzenia trafią na sam jej koniec. Kiedy tak się stało, starszy z braci dał znak ojcu, żeby zatrzymał wyciągarkę. Potem założył blokadę na sieć i przypiął do niej hak od dźwigu.

– Można! – krzyknął.

Ojciec, kuśtykając, podszedł do kolejnego panelu. Nacisnął duży zielony przycisk i dźwig powoli unióś sieć, która teraz tworzyła coś podobnego do wielkiej sakiewki. W jej środku wiły się wielką srebrną masą ryby, krewetki, kraby. Pomiędzy dwiema doradami Mateo dostrzegł macki ośmiornicy, uderzające to w jedną, to w drugą stronę, gdy zwierzę desperacko szukało drogi ucieczki. Zoran kontrolował ruch dźwigu, kiedy ich rybacki urobek przesuwiał się z wody na pokład, aż w końcu uderzył weń z miękkim, nieprzyjemnym plaśnięciem. Ryby, przynajmniej te, które jeszcze żyły, zaczęły energiczniej się poruszać, jakby podjęły właśnie ostatnią próbę walki o życie.

– Bierzemy się – mruknął Zoran.

Mateo poprawił rękawice.

– Pamiętaj, z nóg, a nie z pleców – zażartował.



Zoran uśmiechnął się krzywo.

– Na trzy?

– Na trzy – potwierdził młodszy z braci.

Starszy nachylił się nad siecią i rozwiązał ją u spodu.

– Trzy.

Kiedy ją podnieśli, u dołu zrobiła się sporej wielkości dziura, przez którą wylatywały ryby i cała reszta połowu. Zazwyczaj zajmowało to kilkanaście, może kilkadziesiąt sekund, tym razem jednak było inaczej. Na pokładzie znajdowało się mniej ryb, niż powinno być, biorąc pod uwagę wielkość sakwy. Cała reszta wciąż tkwiła w środku.

– Co jest?

– Coś tam się zaplątało.

Cholera, zaklął w myślach Mateo. Zastanawiał się przez chwilę, co złapali. Może worek ze śmieciami, kawał dryfującego drewna, jakąś blachę, która leżała przez dziesięciolecia na dnie, a teraz poderwał ją prąd morski czy coś w tym stylu. Takie rzeczy się zdarzały. Rzadko, bo rzadko, ale się zdarzały. Albo znowu trafili na cholerne meduzy. U wybrzeży Istrii pływały takie, które ważyły nawet dziesięć kilogramów. Wcześniej był z nimi gigantyczny problem, szczególnie latem, kiedy w sieciach rybackich znajdowano tylko ich obłe galaretowate ciała. Ludzie pisali wtedy do rządu, prosili o wsparcie i urządzali protesty, skarżąc się, że przez cholerne meduzy nie będą mieli co jeść. Ale teraz był grudzień, temperatura wody spadła. Meduz powinno być niewiele.

– Mocniej – warknął Zoran.

Mateo posłuchał brata. Szarpali siecią w jednym rytmie, to w lewo, to w prawo. Była tak ciężka, że od wysiłku omdlewały mu ramiona. Nie był pewien, ile jeszcze tak wytrzyma. Czuł, jak pod ubraniem, po plecach, spływają mu strużki potu. Ile tam jest tych meduz, pomyślał ze złością. Pewnie kilkanaście.

– Rzućcie to! – Usłyszeli głos ojca.

W pierwszej chwili nie zrozumieli. W głowie szumiała im krew. Zaciskali zęby, całkowicie skupieni na walce z siecią rybacką.

– Rzućcie to! – powtórzył ojciec.

Mateo zareagował pierwszy. Puścił i westchnął z ulgą. Po nim zrobił to brat. Rozległo się nieprzyjemne, głuche pacnięcie, kiedy sieć uderzyła o mokry, pokryty rybami pokład.

– Cholera... – mruknął Zoran.

Mateo od wysiłku zakręciło się w głowie. Kucnął, podparł dłońmi czoło i przymknął powieki, czekając, aż mu się poprawi. Kiedy otworzył oczy, zobaczył leżące zaledwie kilkanaście centymetrów przed nim, zawinięte w rybacką sieć ludzkie zwłoki. A właściwie to, co z nich zostało, większość bowiem została wyżarta do gołych kości przez ryby i krewetki. A także kraby, z których jeden właśnie wędrował pomiędzy kępkami włosów a trzymającą się na resztkach skóry szczęką. Ciało było kompletnie ubrane. Kończyny związane srebrną taśmą, teraz naderwaną, pewnie przez kraby. Wokół zaczął się roznosić specyficzny zapach. Jakby smród martwych ryb podniesiony do kwadratu.

Mateo wydobył z siebie cichy krzyk. Poderwał się i zanim się zorientował, już tkwił przewieszony przez burtę i wymiotował do Adriatyku. Żółć z jego żołądka unosiła się na powierzchni fal, tworząc plamy o postrzępionych, nierównych brzegach.

Usłyszał, jak ojciec kuśtyka w jego stronę, szurając protezą. Poczul jego ciężką dłoń na swoim ramieniu. Stary uścisnął go, wbijając palce w jego mięśnie. Był to gest bolesny, ale równocześnie pełen współczucia, zrozumienia i sympatii.

– Ja wiem, synu – powiedział, a szorstki zazwyczaj głos drżał teraz od emocji. – Ludzkie ciało... jeszcze w takim stanie... Nie powinno się takich rzeczy oglądać...

Mateo po raz ostatni splunął żółcią i z wysiłkiem podniósł głowę. Miał wrażenie, że jego szyja jest sztywna, jakby zmieniła się w bryłę lodu. Nie miał siły nic mówić, dlatego tylko dotknął czubkami palców

dłoni ojca. Ten odpowiedział, klepiąc go po plecach, potem dokuśtykał do sieci i wpatrywał się ponuro w martwe ciało, które właśnie wyciągnęli z morza.

Mateo miał kilka chwil, żeby jakoś dojść do siebie. Nie chciał, żeby ojciec lub brat zorientowali się, że nie wymiotował z powodu widoku martwego ciała. Jasne, to nie było nic przyjemnego. Chłopak przypuszczał, że będzie mu się to śniło jeszcze przez kilka tygodni, jak wtedy, w Zagrzebiu, gdy jakiś starszy facet na skuterze potracił psa. Co prawda Mateo naoglądał się w swoim życiu horrorów, na ekranie telewizora czy komputera widywał jeszcze gorsze rzeczy. Przyzwyczał się. Dłużej zejdzie, zanim pozbędzie się z nozdrzy resztek tego przekłętego zapachu. Był pewien, że ta woń – ryb, kalmarów, morskiej soli i ludzkich zwłok – będzie do niego wracała miesiącami w najmniej odpowiednich chwilach. Ale i z tym sobie poradzi. Nie, prawdziwy powód, dla którego jego żołądek skręcił się w supeł, przed oczami zrobiło się ciemno, a przeraźliwe zimno sparaliżowało jego mięśnie, był inny.

Mateo po prostu wiedział, kogo właśnie wyłowili.

*lipiec 2022*

*sobota*

Ileć Daria spoglądała na śpiącego Antosia, jej żołądek skręcał się z niepokoju. Dlatego odwróciła głowę i wyglądała za okno samochodu. Wzgórza, plamy zieleni, winnice, zaniedbany, ale malowniczy dom na skraju wąskiej drogi, niebieskie niebo i równie niebieskie morze, słońce, Chorwacja – ładnie. Powinna się tym cieszyć, a ona po prostu się bała. Pociła się strasznie, jej letnia koszula kleiła się do pleców. Nie pomagała nawet szumiąca w tle klimatyzacja.

Wypadek samochodowy zaczęła sobie wyobrażać, gdy przekraczali czesko-austriacką granicę. Niby cały czas mieli jechać autostradami, więc bezpiecznie, ale i tak wyobraźnia zaczęła jej podsuwać kolejne obrazy. Najpierw Marek jedzie za szybko. Potem pęka opona. Huk, jakby obok nich wybuchła bomba. A później wbijają się z prędkością ponad stu dwudziestu kilometrów na godzinę w barierkę ochronną. Zgrzyt zgniatanego metalu, pękające szkło, poduszki powietrzne. Ich auto zmienia się w harmonijkę, kiedy jeszcze z tyłu uderza w nich ciężarówka.

No właśnie, ciężarówka! Kolejny powód do fantazjowania. Jakiś kierowca dostaje w kabinie zawału serca, bo za długo pracował. Jasne, niby mają te tachometry, ale wszyscy na nich oszukują. Liczy się przede wszystkim czas, czas i czas. Byle szybciej, byle prędzej. Dlatego ten kierowca jest w drodze od czterdziestu godzin, przemierza kontynent z jednego krańca na drugi. Trzęsą mu się ręce. Nie zasnął tylko dlatego, że jedzie na napojach energetycznych. Cała podłoga w kabinie zawalona jest puszkami po red bullach, tigerach, blackach

i monsterach. W żyłach zamiast krwi płynie mu kofeina, co tłumaczy zawał. Albo nie! Facet wciąga non stop amfetaminę! Jego nos jest cały biały, jakby miał twarz w mące. W każdym razie w pewnym momencie serce odmawia mu posłuszeństwa. Facet umiera na miejscu, pada głową na kierownicę, a ciężarówka zjeżdża na lewy pas. Tam, gdzie oni. Nie mają jak wyhamować, nie udaje im się uciec. Wielki tir wbija się w ich bok, a potem przebijają się przez barierkę między pasami i pędzą na czołowe zderzenie!

Te wizje przychodziły i odchodziły, ale też Antoś wtedy nie spał. Czterolatka cały czas trzeba było jakoś zagadywać. Puszczała mu bajki na tablecie, śpiewali piosenki, grali w proste gry albo po prostu pokazywała mu to, co dzieje się za oknem, i opowiadała o krajach, przez które przejeżdżali. Nie miała więc czasu, żeby skupić się na swoich makabrycznych wizjach. Było dużo ważniejszych rzeczy do zrobienia.

A potem przejechali przez Słowenię. Tam Marek się zirytował, bo nawigacja źle ich poprowadziła. Zamiast jechać na wybrzeże Adriatyku, pojechali prosto do granicy.

– Będziemy musieli płacić za jazdę chorwackimi autostradami – powiedział.

– I tak byśmy musieli – przypomniała mu.

– Ale mniej – mruknął zirytowany.

Tłumaczył, że mają winietę na wszystkie autostrady w Słowenii. Kosztowała ich kilkanaście euro, a teraz po prostu wywalili je w błoto, bo przejechali pewnie ledwo z pięćdziesiąt kilometrów. I jeszcze snuł opowieść o tym, że wszystko dobrze ustawił w nawigacji i nie wie, dlaczego komputer poprowadził ich w ten sposób. Pewnie na postoju coś się przestawiło. Daria kiwała głową.

W Chorwacji najpierw było płasko i nudno, jak na polskiej A2, ale potem dojechali w góry, tak piękne i malownicze, że na moment zapomnieli o swoich morderczych wizjach. Antoś też nic nie mówił, tylko szeroko otwartymi oczami chłonął przesuujące się za oknami

krajobrazy. Potem zaczęły się tunele, które z jednej strony były fajne, bo Daria z Antosiem radośnie krzyczeli za każdym razem, kiedy do jakiegoś wjeżdżali i kiedy z niego wyjeżdżali. Z drugiej jednak strony wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby z pełną prędkością wbili się w ścianę. I jak wielki korek by powstał, gdyby gdzieś na środku utknął płonący wrak ich samochodu.

Jechali tak przez kilka godzin. Marek narzekał, kiedy okazało się, że muszą zapłacić dodatkowo za przejazd tunelem Učka, aż wreszcie zjechali z ciągu autostrad. Wtedy też Antek zasnął i wyobrażenia Darii zaczęła pracować pełną parą, bo teraz drogi robiły się coraz węższe, coraz bardziej kręte i coraz bardziej dziurawe. Miała wizję kolizji z niemal każdym samochodem, który nadjeżdżał z naprzeciwka, który mijali lub który ich wyprzedzał. Czasami nie potrzebowała innego pojazdu. Wystarczył tylko ostrzejszy zakręt i już była pewna, że zaraz z niego wylecą, wbiją się w jakieś drzewo lub polecą w dół urwiska.

I to będzie koniec. Jej. Bo w każdej z tych wizji była tylko jedna ofiara śmiertelna – Daria. Antoś i Marek zawsze wychodzili bez szwanku. Może czasami Marek miał drobne zadrapania, jakieś siniaki i rozbite okulary, ale to tyle.

To nie było tak, że wymyślanie tych strasznych scen sprawiało jej przyjemność. Robiła wszystko, żeby je od siebie odegnąć. Przypominała sobie różne trudne sprawy z praktyki podatkowej, myślała nad interpretacjami przepisów, po raz kolejny zastanawiała się, czy na pewno zamknęła swoje sprawy przed wyjazdem na urlop (i za każdym razem odpowiedź brzmiała: tak), ale nic to nie dawało. Same do niej przychodziły, jedna po drugiej. Na przemian chciało jej się płakać i krzyczeć. Powstrzymywało ją przed tym tylko to, że najpierw obudziłaby Antka, a potem musiałaby się wytłumaczyć ze swojego zachowania Markowi. A nie wiedziała, jak miałyby to zrobić, co wpędzało ją w jeszcze większy popłoch. Nie była pewna, jak długo tak wytrzyma.



- Wszystko tam z tyłu w porządku? – rzucił Marek.
- Tak – skłamała.
- Pobladłaś.
- To z tego upału.
- Podkręcić klimę?
- Nie. Nie trzeba.
- Może chcesz się zatrzymać na chwilę?

Na samą myśl rozboleła ją całe ciało. Z jednej strony marzyła o tym, żeby wreszcie wysiąść z samochodu, ale z drugiej to tylko przedłużyłoby całą podróż. A ona chciała, żeby ten koszmar wreszcie się skończył.

- Nie, nie trzeba. Po prostu jedźmy.

On jednak zaczął zwalniać. Daria pomyślała, że Marek w swojej dobroci postanowił zrobić postój. Zawsze był bardzo opiekuńczy. Czasami troszczył się o nią tak, że robiło się to niezręczne. Jakby chciał wynagrodzić jej te wszystkie godziny, kiedy nie było go w domu, bo rozkręcał fundację. Odpięła pas (natychmiast zobaczyła, jak wylatuje przez przednią szybę i uderza z głuchym łupnięciem o asfalt. I znowu Markowi ani Antosiowi nic się nie stało, nawet samochód był cały, z wyjątkiem szyby, oczywiście) i wychyliła się w kierunku męża. Chciała zaprotestować, kazać mu przyśpieszyć, ale wtedy zorientowała się, że Marek naciska hamulec z zupełnie innego powodu.

Droga była strasznie wąska. Z jednej strony wyrastało strome zbocze, z drugiej kamienny murek, a za nim zarośla tak gęste, że trzeba by się przez nie przedzierać z maczetą. Na prawym skraju drogi jakaś dziewczyna próbowała złapać stopa. Miała trochę ponad metr sześćdziesiąt i fioletowe włosy. Krótkie spodenki, ledwo zakrywające pośladki, odsłaniały opalone na brązowo nogi, ramiączka koszulki były tak cienkie, że prawie niewidoczne. Ocierała spoczone czoło dłonią, w której trzymała przeciwsłoneczne okulary. Stary, brudny i straszliwie kopcący biały opel kadett wyminął ją z trudem, niemal przejeżdżając jej po palcach. Niczym w tańcu zrobiła obrót

o sto osiemdziesiąt stopni, krzycząc coś za kierowcą i wyciągając w jego kierunku środkowy palec. A potem obróciła się po raz kolejny, tak że znowu stała frontem do nich. Na ich widok lekko zmarszczyła brwi i nagle, zanim zdążyli obok niej przejechać, wyskoczyła na środek drogi, szeroko rozkładając ramiona. Marek zahamował gwałtownie.

– Co jest... – mruknął pod nosem, zirytowany, ale chyba i lekko przestraszony.

Nacisnęła klakson. Stojąca kilka metrów przed nim dziewczyna najpierw się skrzywiła, a potem przewróciła demonstracyjnie oczami. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby równocześnie ich oceniała i zastanawiała się, co zrobić. Najwyraźniej jednak miała zamiar zejść z drogi i pozwolić im przejechać, ale wtedy dostrzegła wychyloną do przodu Darię. Znowu się uśmiechnęła, jakby były koleżankami z dawnych lat, które przypadkiem spotkały się na bezludziu. Najpierw wykonała gest łapania autostopu, a potem złożyła obie dłonie w błagalnym geście i kilkakrotnie lekko się pochyliła, niemo prosząc o podwózkę.

– Co ona wyrabia... – rzucił Marek. Chciał znowu nacisnąć klakson, ale Daria chwyciła go za ramię.

– Weźmy ją – powiedziała.

Pomyślała, że to najszybszy sposób na rozwiązanie tej absurdalnej sytuacji. Co ważniejsze jednak, miała nadzieję, że obecność dziewczyny podziała na nią uspokajająco. Zamiast rozmyślać nad kolejnymi scenariuszami drogowych wypadków, spróbuje się dowiedzieć, kim ona jest i gdzie ją zawieźć.

– Przecież nawet nie wiemy, kto to!

– Tak działa autostop.

– Widzisz, że to jakaś wariatka. Nie wiadomo, co jeszcze strzeli jej do głowy.

– To młoda dziewczyna, która prosi o podwózkę. Waży pewnie z połowę tego co ty. Co ona niby może nam zrobić?

Marek zerknął w tylne lustro, jakby szukał pomocy u śpiącego Antka, a potem zrezygnowany kiwnął głową.

– Jak nam coś ukradnie, to będzie na ciebie – rzucił.

– Będę jej pilnować – obiecała.

Wycofała się na tylne siedzenie, a ponieważ Marek się nie ruszał, opuściła szybę. Do środka od razu wpadło rozgrzane południowe powietrze. Na moment odebrało jej oddech. Daria wychyliła się przez okno i pomachała do wciąż stojącej na drodze dziewczyny.

– Chodź! – rzuciła. – *Come!*

Autostopowiczka przekrzywiła głowę, chyba zaskoczona, że udało jej się złapać podwózkę. Podbiegła w ich stronę. Po kilku krokach potknęła się i na chwilę przystanęła, by ściągnąć z nóg japonki. Marek wykorzystał ten moment, żeby wrzucić do schowka leżący nieopodal skrzyni biegów portfel. Dziewczyna już na bosaka, skacząc na palcach jak balerina, dopadła do samochodu. Otworzyła drzwi od strony pasażera i w pośpiechu wpadła do środka, jakby bała się, że próbują jej teraz odjechać.

– *Tack!* – powiedziała, kiedy już się umościła. – Dzięki – dodała po angielsku.

– Gdzie jedziemy? – zapytał Marek.

– Przed siebie! – wykrzyknęła i roześmiała się perliście.

Mąż odwrócił się do Darii i rzucił jej ciężkie spojrzenie, jakby chciał w ten sposób powiedzieć: patrz, w co nas wpakowałaś. Potem wrzucił bieg, zwolnił sprzęgło, przycisnął pedał gazu i samochód ruszył powoli do przodu.

– Skąd jesteście? – zapytała dziewczyna, kręcąc się na fotelu w taki sposób, żeby spoglądać to na Darię, to na Marka.

Zanim którekolwiek z nich zdążyło odpowiedzieć, samochód zaczął wydawać z siebie piszczące dźwięki. Marek popatrzył na deskę rozdzielczą.

– Musisz zapiąć pasy – powiedział do dziewczyny.

Wydeła usta niezadowolona, zrobiła jednak to, o co poprosił.

– To skąd jesteście? – powtórzyła swoje pytanie i zaraz klasnęła. – Nie, czekajcie. Sama zgadnę! Niemcy? *Richtig, ja?*

– Nie – odpowiedziała po chwili milczenia Daria.

– No jasne, że nie. Nie macie tego okropnego twardego akcentu.

Włosi?

– Też nie Włosi.

– Nie wyglądacie na Włochów. Za jaśni jesteście. Wiem! Ci, jak oni się nazywają... To słówko... Węgrzy!

– Nie jesteśmy też Węgry – powiedział Marek. – Jesteśmy...

– Polakami! – dokończyła za niego dziewczyna. – Od razu przecież po was widać!

– Jak to od razu po nas widać? – Daria nie potrafiła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

Usta autostopowiczki rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, odsłaniając rząd równych białych zębów. Daria przyjrzała jej się uważnie. Teraz, kiedy siedziała tuż obok, okazało się, że jest jeszcze ładniejsza. Jej twarz zdobiły drobne piegry, co współgrało z niebieskim kolorem oczu. Była szczupła i emanowała tym szczególnym rodzajem zadowolenia z siebie, którym cieszą się młodzi ludzie przeżywający właśnie przygodę swojego życia. Daria zorientowała się, że dziewczyna nie nosi stanika. Kiedy wsiadła do samochodu, a nawiew z klimatyzacji skierowany był prosto na klatkę piersiową, stało się to, co musiało się stać – jej sutki stwardniały jak dwa kamienie. I były doskonale widoczne pod cienkim materiałem koszulki. Daria poczuła, jak robi jej się gorąco od specyficznej mieszaniny zazdrości i niezadowolenia. Lubiała swoje piersi i uważała, że wyglądają naprawdę dobrze, ale były to piersi kobiety, która wykarmiła dziecko. Jej sutki miały już inny kształt i wielkość, przestały być drobne, dziewczęce, ona jednak akceptowała swoje ciało i to, jak zmieniło się w ostatnich latach. Zazdrość brała się stąd, że zauważyła, jak Marek zerka na ich towarzyszkę. Bo przecież on widział to samo co Daria. Niezadowole-

nie zaś wynikało z tego, że nawet nie mogła się na niego za to złościć. Sama nalegała, żeby zabrali tę dziewczynę.

Tymczasem autostopowiczka położyła stopy na desce i postukała dużym palcem (paznokcie oczywiście miała pomalowane) w naklejkę na przedniej szybie.

– Macie tutaj swoją flagę – wyjaśniła.

Daria aż się zaczerwieniła. Wyglądało na to, że wyszła na idiotkę.

– A ty skąd jesteś? – zapytał Marek.

Pomyślała z irytacją, że wystarczą dwa stojące dziewczęce sutki i jej mąż od razu robi się dużo bardziej towarzyski.

– Szwecja – wyjaśniła dziewczyna. – Sztokholm.

– Nie wiedziałem, że Szwedzi też tutaj przyjeżdżają.

– Och! Jeździmy wszędzie. Byleby było ciepło! I żeby było słońce!

Dziewczyna przeciągnęła się, odsłaniając przy tym pępek i kawał opalonego, umięśnionego brzucha z minimalną ilością tkanki tłuszczowej. Wydała przy tym długie, ciche westchnienie, jakby dopiero co wstała z łóżka.

– A wy na długo? – zapytała.

– Na tydzień – odpowiedziała Daria.

– To krótko! – zdziwiła się autostopowiczka. – Ledwo zdążycie się rozpakować i już trzeba będzie wracać!

– No tak wyszło – powiedział półgębkiem Marek.

Nagle przestał zerkać na siedzącą obok dziewczynę i skupił się całkowicie na drodze. Darii się to spodobało, postanowiła więc podciągnąć temat.

– A ty? Ile już tutaj jesteś?

– Za długo.

– Przyjechałaś sama czy z przyjaciółmi? – zapytała Daria, chociaż odpowiedź była oczywista. Przyjechali tutaj pewnie całą zgrają. Wszyscy piękni, młodzi, z dobrych domów, z kieszeniami wypchany-  
mi euro (choć nie, w Szwecji chyba ciągle mieli korony). Wynajęli sobie jakąś wypasioną willę albo siedzą na polu namiotowym, bo

niewiele im przecież potrzeba. Chodzą na plażę, piją wino, łykają różne tabletki, dużo się bawią i mało śpią.

– Z mężem – odpowiedziała dziewczyna i pomachała przed twarzą zaskoczonej Darii. Na serdecznym palcu znajdowała się złota obrączka, a pod nią pierścionek zaręczynowy z lśniącem brylantem. Na oko trzy razy większym od tego, który nosiła Daria.

Droga, wciąż trochę się wijąc, wiodła wzdłuż wybrzeża. Krzaki ustąpiły miejsca gęstemu lasowi, choć co pewien czas dało się dostrzec błękitne morze, a dalej, po drugiej stronie cieśniny, wysokie brzegi wyspy Cres.

– Możecie mnie poczęstować papierosem? – zapytała Szwedka, równocześnie otwierając schowek samochodowy. Auto właśnie w tym momencie podskoczyło na wyboju, a ze środka wyleciał najpierw portfel, potem paczka chusteczek, długopis i dwa splątane kable od ładowarek.

– Jej! Przepraszam!

Nachyliła się, zaczęła zbierać rzeczy z podłogi i pakować je z powrotem do schowka. Pośpiesznie go zamknęła.

– Przepraszam – powtórzyła. – Myślałam, że tam trzymacie papierosy.

– Nie palimy – powiedziała Daria.

– Przepraszam! Byłam pewna, że on... – Niepewnie wskazała na Marka. – Sorry, nie wiem, jak masz na imię.

– Marek.

– No więc że Marek pokazał mi na schowek.

– Nie pokazywałem na schowek.

– Ale zrobiłeś taki ruch...

– Redukowałem bieg.

– Aha... No tak... Bo to ręczna skrzynia, tak?

– Tak.

– My mamy automat.

– No my nie.

– Myślałam, że pokazujesz na schowek. Że tam są papierosy... – Dziewczyna przerwała na moment. – Ja też nie palę – oznajmiła nieoczekiwanie po kilku sekundach. – Czasami mam ochotę, jak teraz. Wtedy zapalę. Ale normalnie to nie. Mąż mi zabronił. Ma trochę świra na tym punkcie. Jeśli kiedyś go spotkacie, to nie mówcie, że prosiłam was o fajkę.

– Nie powiemy – obiecała Daria.

Przed nimi pojawiła się tablica z nazwą miejscowości, zaraz za nią pokazały się pierwsze domy, a na jezdni progi zwalniające.

– My mamy apartament tutaj, więc zaraz będziemy musieli cię wysadzić – powiedział Marek.

– Spoko. Też tutaj mieszkam – ucieszyła się Szwedka. – To może zobaczymy się kiedyś na plaży!

– Może – powiedziała Daria, nie do końca pewna, czy byłaby zadowolona z takiego spotkania.

– Gdzie cię wyrzucić? – zapytał Marek.

– Jedźcie jeszcze, jedźcie!

No to jechali. Spokojnie, góra trzydzieści kilometrów na godzinę, nie tylko ze względu na progi zwalniające. Marek rozglądał się na boki, szukając wynajętego przez nich apartamentu. Samo miasteczko było niewielkie. Niemal wszystkie domy postawiono wzdłuż drogi. Większość z nich wyglądała na nową lub przynajmniej niedawno odnowioną. Do tego zielone trawniki, białe ściany i drewniane okiennice, a w kilku ogrodach palmy. Przejechali też obok paru dopiero budowanych budynków, nikt tam jednak nie pracował. Na placach stały tylko betoniarki, piramidy cegieł i worki cementu. Zresztą całe miasteczko sprawiało wrażenie opuszczonego. Nikt nie spacerował. Chociaż raczej nie miał gdzie, bo nie było chodnika. Nikt nie odpoczywał w cieniu drzew ani nie pluskał się w ogrodowych basenach. Z żywych stworzeń Daria zauważyła tylko brązowego, zadowolonego z siebie kota, który wygrzewał się na betonowym podjeździe.

– Prawie jesteśmy – oznajmił po polsku Marek. – To chyba tutaj.

Skręcił w lewo, w stronę morza, w drogę z obydwu stron ograniczoną kamiennymi murkami i tak wąską, że Daria modliła się, żeby nikt nie jechał z naprzeciwka, bo nie będzie jak się wyminąć. Po ledwo trzydziestu metrach dotarli do żeliwnej bramy. Na słupku przybito niebieską laminowaną tabliczkę z napisem „Apartman” i czterema gwiazdkami pod spodem.

– Wy tutaj? – zapytała Szwedka.

Marek kiwnął głową.

– Super! Bo ja też! Poczekajcie, pomogę wam!

Otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu. Schyliła się, żeby zabrać swoje sandały, a potem podbiegła do bramy. Chwilę siłowała się z zamkiem, ale w końcu rygiel ustąpił i otworzyła im szeroko wjazd. Zamachała trzymanymi w dłoniach japonkami, udając kontrolera ruchu na lotnisku. Kiedy przejechali, popędziła za nimi, żeby po kilku krokach skręcić w bok, na schody wiodące w górę. Dopiero tam się zatrzymała i pomachała im na pożegnanie.

Posesja była na tyle duża, że mieściły się na jej terenie trzy domy. Pierwszy znajdował się na samej górze, w rogu. Prowadziła do niego wąska ścieżka ułożona z betonowych płyt. Był najmniej reprezentywny. Biała farba mocno poszarzała, okna potrzebowały czyszczenia, pod ścianami leżały luzem narzędzia ogrodnicze. Drugi budynek, do którego właśnie zmierzała Szwedka, albo został niedawno zbudowany, albo przynajmniej solidnie odnowiony. Jednopiętrowa willa o ścianach z szarego kamienia, z dachem z czerwonych dachówek, na którym postawiono kilka słonecznych paneli, miała duży taras z parasolami chroniącymi przed słońcem i zestawem mebli ogrodowych. Tam, na drewnianym fotelu, wpatrzony w ekran komputera, palił cygaro siwowłosa mężczyzna w przeciwsłonecznych okularach i białej lnianej koszuli. Szwedka podbiegła do niego, otoczyła ramionami i pocałowała mocno w policzek.



Dalej teren szedł lekkim spadkiem w dół, ku wbudowanym w zbo-  
cze trzem garażom, parkingowi i wreszcie ostatniemu domowi. Także  
jednopiętrowemu. Prawdopodobnie był to przebudowany budynek  
gospodarczy, ale ładny, zadbane. Przygotowany pod przyjęcie gości.  
On również posiadał taras, ale ze zwyczajnymi plastikowymi meblami.

Pomiędzy budynkami rosła trawa, teraz pracowicie podlewa-  
na przez trzy zraszacze, a także kilka niskich palm i przyciętych  
krzewów.

Marek zaparkował pod trzecim z domów. Wyłączył silnik, wes-  
tchnął z ulgą i obrócił się do Darii.

– Jesteśmy – powiedział z uśmiechem.

– Jesteśmy – powtórzyła za nim i także się uśmiechnęła.

Pochyliła się do niego, on do niej i pocałowali się. Delikatnie  
i ostrożnie. Pomyślała, że Marek smakuje zmęczeniem, kawą i gumą  
do żucia.

– Poszukam kogoś, kto nam otworzy.

– A ja obudzę Antosia.

Cmoknął ją jeszcze raz, pośpiesznie i niezdarnie, po czym wy-  
siadł z samochodu. Daria natomiast zajęła się synem. Trochę bała się  
go ruszać. Po przebudzeniu bywał marudny i często wpadał w płacz,  
a potem trudno go było uspokoić. Najchętniej po prostu przeniosłaby  
go do łóżka i poczekała, aż sam się obudzi, ale nie mieli jeszcze kluczy.  
W aucie też nie chciała go zostawiać, bo wystarczyła chwila bez włą-  
czonej klimatyzacji i już zaczynało się robić nieprzyjemnie duszno  
i parno. Nawet przy otwartych drzwiach już po kilku minutach byłby  
cały czerwony i spocony.

Pogłaskała syna po policzku. Po raz kolejny zdumiała się, jak  
miękką i delikatną ma skórę. Pomyślała, że mogłaby całymi dniami  
po prostu go gładzić i się do niego przytulać. Antek zaczął się wiercić  
w foteliku. Daria na moment wstrzymała oddech. Chłopiec otworzył  
oczy, zamiast jednak zwyczajowego grymasu na jego twarzy pojawił  
się szeroki uśmiech.

– Jesteśmy? – zapytał.

– Jesteśmy – potwierdziła.

– Tata?

– Poszedł poszukać kogoś, kto nam otworzy drzwi.

– Aha.

Czterolatek przyjął to jako coś oczywistego i zwyczajnego. Ziewnął i przeciągnął się. Daria rozpięła mu pasy.

– Poczekaj. Wyciągnę cię.

Wysiadła z samochodu. Na tarasie domu powyżej, opierając się o kamienny murek, stał siwowłosy mężczyzna z cygarem. Przyglądał się Darii i ich samochodowi. Nie potrafiła ocenić, ile ma lat. Ponad pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? Czy to on był mężem tej Szwedki, którą podwieźli? Trochę nie mieściło jej się to w głowie. Wyglądał raczej na ojca tej dziewczyny, ale ona nie wspominała, że przyjechała tu z kimś jeszcze. Daria rozumiała, że są pary, u których różnica wieku jest dość spora. Nie miała nic przeciwko temu, jednak ujrzenie tego na własne oczy sprawiło, że zrobiło jej się dziwnie.

– Mamo!

To nie moja sprawa, pomyślała. Obeszła samochód, nachyliła się do syna i pomogła mu wysiąść. Kiedy tylko stanął na podjeździe, jego malutkim ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Chce ci się siusiu? – zapytała.

– Chce – potwierdził.

Rozejrzała się dookoła, ale nigdzie nie widziała Marka. Wzięła Antka za rączkę i poprowadziła go pod jedną z palm. Pomogła mu ściągnąć spodnie i asystowała, kiedy sikał. Zerknęła przez ramię. Mężczyzna z cygarem ciągle stał na tarasie. Ciągle im się przypatrywał. Poczulią się nieswojo.

– Skończyłeś? – zapytała.

Antek przytaknął i podciągnął spodnie.

– Jaki ładny chłopiec. – Usłyszała kobiecy głos, mówiący po angielsku.

Odwróciła się. Zobaczyła, jak ścieżką z góry idzie w jej stronę starsza Chorwatka, a za nią Marek. Kobieta trzymała w dłoni pęk kluczy, które dźwięczały przy każdym jej kroku.

– Już was wpuszczam! Już was wpuszczam! – powtarzała na przemian ze słowami: „Jaki śliczny chłopiec, jaki śliczny chłopiec”.